Pajki

Strzy...

Żona uparta.

Warszawa

Nakład T. H. Nasierowskiego.

1890.

BAJKI
ADAMA MICKIEWICZA.

ADAM MICKIEWICZ.

BAJKI.

WARSZAWA.
Nakładem T. H. Nasierowskiego.

1890

Дозволено Цензурою.

Варшава, 22 Мая 1890 года.

Warszawa. Druk S. Sikorskiego ul. Chmielna 9.

WSTĘP.

Są ludzie, dla których rzeźba musi mieć gigantyczne rozmiary, obraz dopiero wtedy jest obrazem, gdy liczy ze sześć łokci długości i ze cztery wysokości, a na miano poezyi zasługuje utwór, który na setki stronnic się liczy...

Ludzie tacy, arcydzieło Celliniego uważać będą za jubilerską tylko robotę, obrazeczek Meissoniera uznają za podlejszy od dużego oleodruku, a... bajka będzie dla nich próżną dziecinną igraszką, nie godną imienia poezyi...

Na szczęście, nie wszyscy są takimi znawcami sztuki — i dla tych, którzy piękno odnajdą wszędzie gdzie się ono znajduje, wypuszczamy obecne wydanie „Bajek Adama Mickiewicza".

Ileż tu przedziwnie oszlifowanych klejnocików, w tych na pół żartobliwych bajeczkach! Co za niezmierne panowanie nad językiem i naginanie go do wszystkich, najsubtelniejszych odcieni myśli!

Niektóre z bajek tych są — jak w tytułach nazwał je arcymistrz poezyi—tłomaczone. Jestto skromność wielkiego poety. Gdyby nazwać je „naśladowanemi“ i to może byłoby niesprawiedliwem. Pomysł wprawdzie jest w nich cudzy, ale cała, skrząca dowcipem forma, jest już niezaprzeczenie własnością naszego poety.

Dość jest porównać tylokrotnie dokonywane tłomaczenia bajek Lafontain'a, aby ocenić jak daleko odbiegł Mickiewicz, od wszystkich innych, choćby względnie biorąc najlepszych przekładów francuzkiego bajkopisarza.

Puszczamy więc w świat tę garść klejnotów, w których wszystkie uczucia, od wszechludzkiej boleści do pełnego humoru żarciku, wypowiedzieć można...

Przyjaciele.

Nie masz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie;
Ostatni znam jej przykład w oszmiańskim powiecie.
Tam żył Mieszek, kum Leszka, i kum Mieszka. Leszek
Z tych, co to: gdzie ty, tam ja, co moje, to twoje.
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje;
Słowem tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono niewiele,
Rzekłbyś dwójduch w jednem ciele.
O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zozul i krakań gawronich:
Alić ryknęło raptem coś koło nich.

Leszek na dąb; nuż po pniu skakać jak dzięciołek.
Mieszek téj sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: „Kumie!“
Kum już wylazł na wierzchołek.
Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zbladnąć, paść na twarz, a już niedźwiedź kroczy,
Trafia na czoło, maca, jak trup leży...
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nie świeży.
Więc, mruknąwszy ze wzgardą, odwraca się w knieje.
Bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je.
Dopieroż Mieszek odżył.—„Było z tobą krucho!
Woła kum—szczęście, Mieszku, że cię nie zadrapał!
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?“
„Powiedział mi, rzekł Mieszek, przysłowie niedźwiedzie:
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie.“

Zając i Żaba.

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,
Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,
Teraz podupadł na nogach,
Poczuł, że się źle z nim skończy;
Więc jęknął z głębi serca: „Ach, nie masz pod słońcem
Lichszego powołania, jak zostać zającem,

Co mię w dzień pies, lis, konik, kania
I wrona,
Nawet i ona,
Jak chce, tak gania!
A w noc gdy drzemię, oko się nie zmruża,
Bo lada komar bzyknie przez siatki pajęcze,
Wnet drży me serce zajęcze,
Tchórząc tchórzliwiej od tchórza.
Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem:
Postanowiłem dziś je skończyć samobojem.
Żegnaj więc, miedzo, lat mych wiośnianych kolebko!
Wy, kochanki młodości, kapusto i rzepko,
Pożegnalnemi łzami dozwólcie się skropić.
Oznajmuję wszem wobec, że idę się topić!"
Tak z płaczem gdy do stawu zwraca skoki słabe,
Po drodze stąpił na żabę.
Ta mu, jak raca, drgnąwszy z pod nóg szusła
I z góry na łeb w staw plusła.
A zając rzekł do siebie: „Niech nikt nie narzeka,
Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórzu stoi!
Każdy ma swoję żabę, co przed nim ucieka
I swojego zająca, którego się boi!

Koza, Kózka i Wilk.

(Z Lafontaina)

Sąsiadka koza, ta, co to rozwódka,
Z rodu Ostrorożanka, a tak rzeźka czołem,
Że umie łeb za łeb rozmówić się z wołem
I nie da lada wilku brać się do podbródka.
Wczoraj w las idąc zbierać na domu potrzebę
Rokitę, czy lipią skórkę,
Na gospodarstwie zostawiła córkę,
Której jest na imię Bebe.
A że młodym osobom, pod niebytność matki,
Rozliczne grożą przypadki,
Nakazuje dziecku srogo:
„Nie ruszać mi za próg nogą
I nie przyjmować nikogo—nikogo!
Jest tu wilk w okolicy; mam go w podejrzeniu,
Że zamyśla o czem brzydkiem;
Pilnujże drzwi, aż wrócę i dam znak kopytkiem,
Wołając cię po imieniu:
Bebe! Lepiej, że zgrzeszym ostrożności zbytkiem,
Niż gdyby miało kiedy być przysłowiem trzodzie:
Mądra koza po szkodzie."
O wilku mówiono w izbie
A wilk tuż siedział na przyzbie;

Podsłuchał. Matka z domu, a on wnet do córki:
Stuk i puk we drzwi komórki.
Wilk zwykle wyciem łaje albo grozi,
Lecz gdy prosić ma potrzebę,
Nieźle udaje śpiew kozi;
Więc jako mógł najkoziej odezwał się „Bebe!
Otwórz!“ A kózka na to: „Przepraszam, nie można.
Mamy nie masz, jestem sama.“
On znowu: „Bebe, otwórz, to ja, mama.“
Na to znów kózka ostrożna:
„Głos wprawdzie matczyn; ale czyś ty matka,
Jak mogę wiedzieć, gdy zamknięta klatka?
Podejdźże tu i przez to pod progiem korytko
Pokaż mi na znak kopytko.“
Wilk odszedł, klnąc Bebe i mać jej z ruska brzydko.
Ta bajka jest po całym świecie znana z treści;
Lecz, żeby ją dać poznać polskiej płci niewieściej,
Udawajmy, że wzięta z francuzkiej powieści.

Chłop i Żmija.

(Z Lafontaina)

W pamiętnikach bestyo-graficznych Ezopa
Jest wzmianka o uczynku miłosiernym chłopa
I o pewnego węża postępku łajdackim.

Chłop wyszedł zimnym rankiem po chróśniak do sadu,
Aż tu pod bramą wąż mu do nóg pada plackiem.
Przeziębły, wpółskostniały, przysypany szronem,
Już zdychał, już ostatni raz kiwnął ogonem.
Chłop zlitował się nad tą mizeryą gadu,
Wziął go za ogon, niesie nazad w chatę,
Kładzie go na przypiecku,
Podściela mu kożuszek, jak własnemu dziecku,
(Nie wiedząc, jaką weźmie od gościa zapłatę);
Póty dmucha, póty chucha,
Aż w nieboszczyku dobudził się ducha.
Nieboszczyk wąż jak ożył, tak się wnet nasrożył,
Rozkręcił się, do góry wyprężył się, syknął
I całym sobą w chłopa się wycela,
W swojego dobrodzieja, w swego zbawiciela
I wskrzesiciela!
„A to co się ma znaczyć?—zdziwiony chłop krzyknął.
To ty w nagrodę dobrego czynu
Jeszcze chcesz mnie ukąsić? A! ty żmiji-synu!"
I wnet porwawszy dubasa,
Tnie węża raz pod ucho, drugi raz w pół pasa,
Odleciał ogon w jeden, a pysk w drugi kątek;
Rozpadło się żmijisko na troje żmijątek.
Darmo drgają
I biegają

Ogon za szyją, za ogonem szyja,
Już nie zwartwychwstanie żmija.
Przytrafia się to często, że dobry człek jakì
Niewdzięcznika przygarnie;
Ale trafia się częściej, że niewdzięcznik takì
Przepada marnie.

Król chory i Lisy.

„Na ukaz jego lwiej mości,
Dany do nas (z Jaskiniewska
Zbójskiego, gdzie dla słabości
Zdrowia ma jego królewska
Mość pobyt) do gabinetu
Ministrów, my z ich kompletu
Zamianowani być przy nim
Na służbie, wiadomo czynim.
Po pierwsze: Z obywatelstwa
Drapieżnego, tudzież stanu
Bydlego, wybrać poselstwa
Z tem, iżby wskutek uchwały
Powiatów, one udały
Się najjaśniejszemu panu
Życzyć, w najpoddańszy sposób,
Cojaknajdłuższego życia.
Powtóre: posłów brać z osób

Zaszczytnie nam znanych z tycia.
Dan: rezydencya letnia
Jaskiniewsk, 1-go kwietnia.
Przyczem, ministra rozkazem,
Postanowiono zarazem
Posłom z ich towarzyszami,
W tej podróży nadzwyczajnej,
Kazać jechać z paszportami
Ze lwiej kancelaryi tajnej;
Zaczem niech się nikt nie waży,
Ani w policyjnej straży,
Ani nawet z dygnitarzy,
Posła ukąsić lub drapnąć,
A tem mniej w pół drogi capnąć."

Na ten rozkaz ode dworu,
Barańistwo, tudzież stan ośli,
Pierwsi sejmikować pośli;
Pilnując się onych toru,
Wszyscy inni z pól i z borów
Zgromadzić się mają dzisia;
Tylko jedna giełda lisia
Wstrzymuje się od wyborów.
Zkądże im ta taktyka i co jej powodem?
Wydał to jeden stary urzędnik, lis rodem.

„Uważam, rzekł, już dawno trop wszelkiego zwierza
Przed i za Jaskiniewskiem; upewniam was o tem,
Że pełno zewsząd śladów ku monarsze zmierza,
Ale żadnego nie widać z powrotem."

Żaby i ich króle.

Rzeczpospolita żabska wodami i lądem
Szerzyła się od wieków, a stała nierządem.
Tam każda obywatelka,
Mała, czy wielka,
Gdzie chciała, mogła skakać,
Karmić się i ikrzyć.
Ten zbytek swobód w końcu zaczynał się przykrzyć.
Zauważyły, że sąsiednie państwa
Używają pod królmi rządnego poddaństwa,
Że lew panem czworonogów,
Orzeł nad ptaki,
U pszczół jest królowa ula;
A więc w krzyk do Jowisza:
„Królu! ojcze bogów,
Dajże i nam króla—króla!"
Powolny bóg wszechżabstwu na króla użycza
Małego jako Łokiet Kija Kijowicza.

Spadł Kij i pluskiem wszemu obwieścił się błotu.
Struchlały żaby na ten majestat łoskotu.
Milczą dzień i noc, ledwie śmiejąc dychać.
Nazajutrz jedna drugiej pytają: „Co słychać?
Czy niema co od króla?” Aż śmielsze i starsze
Ruszają przed oblicze stawić się monarsze.
Zrazu zdala, w bojaźni, by się nie narazić;
Potem, przemógłszy te strachy,
Brat za brat z królem biorą się pod pachy
I zaczynają na kark mu włazić.
„Toż to taki ma być król?... Najjaśniejszy Bela,
Niewiele z niego będziem mieć wesela;
Król, co po karku bezkarnie go gładzim,
Niechaj nam abdykuje zaraz, niedołęga!
Potrzebna nam jest władza, ale władza tęga!”
Bóg, gdy ta nowa skarga żab niebo przebija,
Zdegradował króla Kija,
A zamianował węża królem żabim.
Ten pełzacz, pływacz i biegacz,
Podsłuchiwacz i dostrzegacz,
Wszędzie wziera pod wodę, pod kamienie, pod pnie,
Wszędzie szuka nadużyć i karze okropnie.
Arystokracja naprzód gryziona jest żabia,
Że się nadyma i zbyt się utłuszcza;
Gryziony potem chudy lud, że nie zarabia
I że się na dno biedy opuszcza;

Gryzione są krzykacze, że wrzeszczą namiętnie,
Gryzieni cici, że śmią siedzieć obojętnie.
  Tak gryząc je swobodnie, wąż do dziś dnia hula,
A rzeczpospolita żab bolesnemi skwierki
Do dziś dnia woła o innego króla,
Lecz bóg nie chce się więcej mieszać w jej rozterki

Osioł i Pies.

  „Jeżeli chcesz, ośle, by pies kochał ciebie,
Kochaj-że ty psa," słowa są Lokmana.
Rozumiał je nasz osioł, boć już nie był źrebię,
Ale z nich drwił. Ta lekkość jak była skarana,
Opowiem dla was, bydląt potomnych, nauki.
  Ten osioł, nosząc jak zazwyczaj juki,
Szedł w ślad za panem, a za nim z tyłu,
Mający nad jukami i bydlęciem dozór,
Ledwie widny w kłębach pyłu,
Biegł pies, wywiesiwszy ozór.
Bogdaj takich dozorców! Przez drogi czas wszystek
Nie tknął się swego podwładnego łytek;
Owszem, bawiąc go, to z boku harcuje,
To się naprzód wysforuje,
Ogonem wciąż dla zachętu
Krętu—wętu...

Szli tak aż do południa.
Pan na skwar narzekał,
Siadł pod drzewem i zasnął.
Tegoć osioł czekał.
Obejrzał się i naprzód darń przy drodze siekał,
Potem podstrzygać zaczął czubek miedzy;
Nakoniec przez rów hopsa!
Widzi się w łące,
Jakoś mimo wiedzy.
Nie znalazł-ci tam przysmaków,
Chwastowiska ni bodziaków,
Lecz koniczyny do pasa.
„Będziesz się miała zpyszna!
Tylko ty, człowiecze,
Zmiłuj się, śpij!“ Tak westchnął i siecze a siecze.
Psu oskoma i pokusa:
„Mój osłosiu, od rana jestem naczczo, mdli mię,
Ty masz wędzonkę w jukach, aż ztąd czuć po dymie,
Pozwól, że dam jej całusa!
Wiesz jak zrobimy? Ja na łapy stanę dębkiem,
A ty przyklęknij na jedno kolano.“
Nasz egoista, jakby do muru gadano,
Siecze, a żuje, milcząc. Aż wreszcie półgębkiem
Wypchanym koniczyną: „Co się tu wałęsasz?
Poszedłbyś psie do nogi! Jak jegomość wstanie,
Da ci się śniadanie.“

Odpowiedzi nie czekał
I obuszcząk znowu
Tak zarwał trawy,
Że aż wygryzł w ziemi dołek,
Klnąc psa, że mu przeszkadza.
Wtem nagle, z za rogu,
Błysnął ku niemu parą krwawych świec wilkołek,
Biorąc go na cel i na tuj.
Wtedy do psa: „Bracie, broń! ciu ciu! na tu! ratuj!"
A pies: ja nie twój Ratuj, ani twój pan Broniec;
Nie wrzeszcz i łąki nie tratuj,
Czekaj, aż jegomość wstanie,
Na waści obronienie i poratowanie."
W tejże chwili wilk osła dorznął.
Ot i koniec.

Lis i Kozioł.

Już był w ogródku, już witał się z gąską,
Kiedy skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbierano;
Ani pomyśleć o wyskoczeniu,
Chociaż wody nie było i nawet nie grząsko,
Studnia na półczwarta łokcia.
Za wysokie progi

Na lisie nogi;
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznogcia
Postaw się teraz w tego lisa położeniu.
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy,
Wołając gromu, ażeby go dobił.
Nasz lis takich głupstw nie robił;
Wie, że rozpaczać jest to zło przydawać do zła.
Zawsze maca w koło zębem,
A patrzy w górę. Jakoż w krotce ujrzał kozła,
Stojącego tuż nad zrębem
I patrzącego z ciekawością w studnię,
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije.
Cmoka mocno, głośno chłepce
I tak sam do siebie szepce:
„Oto mi woda! Taki nie piłem, jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie!
Chce mi się całemu spłukać,
Ale mi ją szkoda zbrukać,
Szkoda!
Bo co też to za woda!“
Kozioł, który tam właśnie przyszedł wody szukać
„Ej!—krzyknął zgóry—ej ty ryży kudła!
Wara od źródła!“
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
A z rogów na drąg — i w nogi.

———

Tchórz na wyborach.

Po owej porażce zwierząt
Wszczął się w ich armii nierząd.
Zwołana wojenna rada,
Z rady zwada;
Każdy każdemu się żali,
Każdy przed każdym się chwali
I każdy winę na każdego wali,
Tchórzowi tylko wszyscy pokój dali.
Obywatel tchórz w rządzie nie zasiadał,
Ani wojskowo nawet nie służył,
Więc w politycznem życiu się nie zużył,
Ufny w niepokalaną swą przeszłość, tak gadał:
„Obywatele!“ czas jest przystąpić do kwestji.
Czemu przypiszem klęski tej kampanji?
Czy że na wodza brak nam zdolnej bestji?
Nie! Ale my ulegli przesądów tyranji!
Grzesznym przodków obyczajem,
Nie tym buławę oddajem,
Których zasługa i talent wyniosą,
Ci—drapieżne urodzenie,
Tamci—rogate znaczenie,
A owi—socyalne, tłuste położenie.
Otóż dowódzcy nasi, przypatrzcie się kto są?

Lew, prezes, istny pańskich ideał nałogów;
Radca żubr, już dziad, ledwie goni resztą rogów;
Niedźwiedź mruk, niech-no stanie przed wojskiem, co
Z lamparta byłoby coś, ale mu pstro w głowie; [powie?
Że pułkownik wilk sławny, toć tylko z rabunków
I z procesu, co zrobił owemu jagniątku;
A o kwatermistrzu lisie
Lepiej przemilczeć zda mi się,
Niźli zazierać do jego rachunków,
Sam się nie tai, że skory do wziątku.
Pominiemy odyńca, pan ten tylko pragnie
Skarbić żołędzie i spoczywać w bagnie.
Przywyklejszy doń, niż do marsowego kurzu;
Co się zaś tyczy osła, ten był i jest błaznem."
Gdy tchórz tak gadał, Rada, wrąc entuzyazmem,
Gotowa za krasomowstwo
Dać mu naczelne wodzostwo,
Odezwała się nagle w jeden głos: „Żyj, tchórzu!"
On, stropion krzykiem tym pośród perory,
Zmieszał się, owszem, dał czuć najwyraźniej,
Że był w gwałtownej bojaźni.
Dopiero rozruch. „Precz z nim! pfe! tchórz! a do nory!"
Szczęściem tuż była. Wśród sarkań i śmiechu
Wpadł w nią i rył bez oddechu,
Aż gdy na sążeń czuł się pod podwórzem,
Rzekł do siebie z ironją czystego sumienia:

„Ot proszę, co też to jest przesąd urodzenia!
Obranoby mię wodzem, gdybym nie był tchórzem.“

Dzwon i dzwonki.

Dzwonki razu jednego świegotały z wieży
Do dzwona, który w piasku pod kościołem leży:
„Widzisz, bracie, choć mniejsi, jak śpiewać umiemy;
Cóż tobie po wielkości, gdyś głuchy i niemy?“
„O głośni braciszkowie!—dzwon smutny zaszeptał,
Dziękujcie plebanowi, że mię w piasek wdeptał.“

Pchła i Rabin.

Bewien rabin, w talmudzie kąpiąc się po uszy,
Cierpiał, że go pchła gryzła; w końcu się obruszy.
Dalej czatować—złowił. Srodze przyciśnięta,
Kręcąc się, i wyciągając główkę i nóżęta:
„Daruj rabi, mądremu nie godzi się gniewać,
O święty synu Lewi, nie chciej krwi przelewać!“
„Krew za krew!—wrzasnął rabin—Beliala płodzie!
Filistynko, na cudzej wytuczona szkodzie!
Mrówki mają śpichlerze, pracowite roje
Znoszą miody i woski, a trucień napoje,

Ty się jedna śród ludzi z liwarem uwijasz,
Pijaczko, tem szkodliwsza, że cudze wypijasz.“
Zakończył i gdy więźnia bez litości dłabi,
Pchła, konając, pisnęła: „A czem żyje rabi?“

Golono, strzyżono.

U nas, kto jest niby chory,
Zwołuje zaraz doktory,
Lecz czując się bardzo słaby,
Prosi chłopa albo baby.
Ci, ze swego aptekarstwa,
Potrafiają i podagrze,
I chiragrze i głuchotom,
I suchotom i głupotom
Radzić—a i u nich wszakże
Niemasz na upór lekarstwa.
Mieszkał Mazur blizko Zgierza,
Któremu zginęła suka,

Straż domostwa i śpichlerza.
Gdy jej z żalem i kłopotem
W okolicy całej szuka,
Wróciła się w tydzień potem.
Ledwie poznał, że to ona,
Bo była wpół-ogolona.

„O zbóje! żeby ją skryli,
Używając takich figli,
Że biedaczkę wygolili!“
„Powiedz raczej że ostrzygli,
Robi mu uwagę żona,
Bo psów nie golą, lecz strzygą.“
„A no patrzajcież-bo mi go,
Odezwie Mazur z przekąsem,
Jaka ty mi dyć uczona!
Mając gołe jak pięść lice,
Chcesz nauczyć nas pod wąsem,
Co jest brzytwa, co nożyce?
A nasz pan, co mu łysina
Prześwieca się jak ta psina,
Myślisz, że jest postrzyżona?“
„A wąsiki ekonoma,
Odpowiada zaraz żona,
Co mu wiszą jak u sosny,
A błyszczą jak namaszczone,

Sąż golone, czy strzyżone?"
„Bierz ci licho twego pana
I pana i ekonoma,
Dobrze, że jest suka doma,
Choć tak szpietnie ogolona."
„Toć i jam się ucieszyła.
Odpowiada zaraz żona,
Że się suka powróciła,
Choć tak szpetnie ostrzyżona"
„Głupiaś z twemi nożycami!"
„I ty z twojemi brzytwami!..."
„Że golona, przypatrz-że się!"
„Że strzyżona, pokaże się."

Tak się kłócą mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk wkoło się rozlega.
Ogolona! ostrzyżona!

Idzie sąsiad: „Niechaj przydzie,
Niech się wpatrzy i przekona."
Idzie żyd: „Powiedz-no, żydzie,
Czy golona? Czy strzyżona?"
Od żyda aż do plebana,
Od plebana, aż do pana,
Sprawa zapieczętowana;

Co sąsiad i żyd dowodził,
Na to się ksiądz i pan zgodził,
Że wygrała męzka strona,
Że suka jest ogolona.
 Wracają do domu strony,
Po drodze chłop pyta żony,
Czy wyroku treść pamięta?
Ona milczy jak zaklęta.
U progu suka ich wita:
„Pójdź tu, moja ogolona!“
Woła mąż. A kobieta:
„Pójdź tu, moja ostrzyżona!“

 Mazur wściekły już nie gadał,
Ani żonie odpowiadał;
Tylko wziąwszy pod rękawki,
Wlecze ją wprost do sadzawki
I topi jak kadź ogórków.
Ona, nienawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz;
On, trzymając za ramiona,
Gnębi, krzycząc: „A no teraz:
Czy golona? czy strzyżona?“
Biedaczka, ze śmiercią w walce,
Czując skonu paraliże,
I na odpowiedź palcami,

Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok uciekł z wody.
Ona poszła do gospody;
On się puścił aż do Zgierza
I tam przystał za żołnierza.

Żona uparta.

Teraz tyle samobójstw, że czyhają straże
Nad rzeką. Niech-no człowiek się pokaże,
Co na afisze nie patrzy
I od korzenników bladszy,
Niedbale utrzewiczony
I źle urękawiczony—
Myślą, że się chce topić;
A więc pełni zgrozy,
Ratują go od śmierci, a wiodą do kozy.
Taki to jakiś po Sekwany brzegu
Biegł przeciw wody. Żandarm zatrzymał go w biegu
I urzędownie pyta o powody
Tego biegu przeciw wody.
„Nieszczęście! — woła biedak — pomocy! ratunku!

Żona mi utonęła, żona, iż tak rzekę,
Wpadła mi w rzekę.“
A na to żandarm mu rzecze:
O, praw hidrauliki nieświadom człowiecze?
Szukasz utopionego ciała w złym kierunku,
Ono z góry wdół płynie wedle praw przyrody,
A ty za żoną biegniesz przeciw wody?”
„Boć to ciało—rzekł szukacz—było w życiu dziwne,
Zawżdy wszystkiemu przeciwne,
I domyślać się mam pewne powody,
Że popłynęło z rzeką przeciw wody.”

